

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 25

Katowice, 26-go czerwca

1932

Na szóstą niedzielę po Świątkach.

EWANGELJA

zapisana u św. Marka rozdz. 8, w. 1—9.

W on czas: Gdy koło Jezusa zgromadziła się mnoga rzesza, a nie miała co jeść, przywołał uczniów i rzekł im: Żal Mi ludu, bo od trzech dni trwa przy Mnie, a nie ma co jeść. Jeśli ich puszcze głodniałych do domów swych, w drodze zesłabną, bo niektórzy przybyli zdaleka. I odpowiedział Mu uczniowie Jego: Skądże mógłby kto nakarmić ich chlebem tu na pustkowiu? A On ich zapytał: Ile macie chlebów? — Oni zaś rzekli: Siedem. Polecił tedy rzeszy, by usiadła na ziemi; a biorąc siedem chlebów i dzięki czyniąc, łamał i rozdawał uczniom swoim do rozdzielania; a oni podawali ludowi. Mieli też trochę rybek; te także pobłogosławił i poleciał rozdać. Jedli tedy i nasycili się; a z resztek ułomków zebrano siedem koszyków. A tych, którzy się posilili, było około czterech tysięcy; i rozpuścił ich.

NAUKA.

I. Żal mi tego ludu!

Zeszłoroczne Boże Ciało w Lublinie przyniosło narodowi polskiemu piękny upominek: piękna fotografia p. prezydenta Mościckiego, klęczącego przed Przenajświętszym Sakramentem. Otoczenie jego stoi. On sam klęczy. Oko jego wpatrzone w ołtarz. Na twarzy troska. Uwidacznia się cicha wewnętrzna rozmowa, jaką prowadzi ojciec narodu z Panem światła, utajonym w sakramencie. „Panie, czy nie żal Ci Twego ludu?” Nie trudno bowiem domyślić się trosk, które przygniatają jego zacne serce. Współczujemy z nim serdecznie. Przecież te troski nam wszystkim wspólne, spowodowane

straszny zastoje w kraju i niebywałą biedą bezrobocia...

II. Modlitwa za bezrobotnych.

„Panie! Ty ulitowałeś się nad tymi, którzy 3 dni przy Tobie trwając nie mieli, co by jedli. Panie! tyś się lękał puszczać ich do domów, by w dalekiej drodze nie ustali i nie pomarli z głodu. Zlituj się Panie nad ludem polskim, jak zlitowałeś się na pustyni nad ludem z Jeruzalemu. Patrz oto synowie i córki tego narodu chrześcijańskiego już nie 3 dni, ale całe miesiące są bez zarobku.

Szukają pracy, lecz jej nie znajdują. Błagają się od drzwi do drzwi i daremnie błagają o zajęcie. Mniemaliśmy w wyniosłości (może grzesznej) ducha naszego, iż Ojczyzna nasza tak bogata, że pracy nie powinno zabraknąć nigdy. Gdzie okiem rzucić widzieliśmy tylko żniwa wołające o robotnika. W zarozumiałości naszej mniemaliśmy, że dla szczęścia ludzkiego wystarczy pole zgnoić i zasiać, węgiel wydobyć i w ruch puścić maszyny. Uważaliśmy wszyscy w pysze ducha, że w naszym stuleciu, w stuleciu postępu wszelakiego i kunsztu już niema potrzeby oglądania się na błogosławieństwo nieba.

Dziś widzimy, że mimo wszelkiego wysiłku ludzkiego w uciskach niemal ustaje nasze życie społeczne, że bieda i nędza przytłacza nas coraz więcej! Dziś kornie się korzimy i prosimy: zlituj się nad synami i córami narodu, zlituj się Panie nad ojcami i matkami i nad biednymi dziećmi! Ukróć to straszne doświadczenie, któreś w niezbadanych wyrokach na ziemię naszą zesłał. Ulitowałeś się na pustyni, bo lud trwał przy Tobie. — Oto patrz — masz nas korzących się Tobie! Daj nam to, o co żebrzemy, lubośmy nie zasłużyli! Daj nam pracę i zarobek! Daj nam zgodę i jedność, byśmy Cię chwalili i wielbili!

Praca religijna wśród ludu nie ustaje.

List pasterski ks. arcybiskupa Nowowiejskiego.

J. E. ks. arcybiskup Nowowiejski, biskup płocki, wydał ostatnio list pasterski, omawiający encyklikę papieską „Caritate Christi compulsi” oraz zalecający swym wiernym wprowadzić w czyn wskazania Ojca św., zawarte w encyklice.

Mimo wyjątkowej propagandy komunistycznej i bezbożniczej, praca religijna wśród ludu nie ustaje i duch nie słabnie.

„Kościół św. — pisze ks. arcybiskup — na mojej opecie zbudowany został i bramy piekielne nie zwyciężą go.

Nie jedna burza w ciągu dziejów uderzyła w tę świątynię Piotrową, — a jednak zawsze wychodziła ona zwycięsko. To samo i dziś zauważyć już można.

Kiedy bowiem z jednej strony panoszy się bezbożność i pod swoje szatańskie sztandary gromadzi nikczemników — z drugiej strony powiał zaiste duch boży. Akcja Katolicka coraz większe zatacza kregi. Łączy ona i skupia pod sztandarami Chrystusa wszystkich wyznawców Boga i obrońców wiary. Po miastach i wioskach z dnia na dzień rośnie liczba tych, którzy ze wszystkich sił dążą do rozpowszechnienia chrześcijańskiego poglądu na świat i pragnąc życie społeczeństwem w chrześcijańskim duchu ukształtować, przykładem własnego nieskalanego życia innych do wiary i cnoty pociągają“.

„Jest to objaw pocieszający. Raduje się serce Nasze, kiedy widzimy, jak w diecezji płockiej rosna szereg apostołów sprawy Chrystusowej, jak organizacje Akcji Katolickiej coraz piękniej się rozwijają. Raduje się serce Ojca Chrześcijaństwa, kiedy widzi na całym świecie ten wiosenny powiew, bu-

dzący pragnienie Boga nawet w tych duszach, które dotąd do tego pragnienia przyznać się nie miały odwagi“.

Ponieważ środki przyrodzone do walki ze złem i odrodzenia duchowego społeczeństwa są niewystarczające, zaleca ks. arcybiskup środki nadprzyrodzone, jak modlitwę, umartwienie, pokutę, jałmużnę.

Jedno spojrzenie ratuje lub gubi duszę.

— Gracjo, powiedz panom dobra noc, — rzekł hrabia X. do swej dziewięcioletniej córki. Ta wstała natychmiast z miejsca, jakie zajmowała dotąd obok hrabiny, swej matki, podeszła do każdego z kilku obecnych panów, podała rękę i szepnęła nieśmiało „bon soir“ (dobranoc), poczem ucałowałszy rodziców, wyszła ze swą nauczycielką z eleganckiego salonu, aby się udać na spoczynek.

— Bardzo miłe dziecko — odezwał się jeden z gości, spoglądając na drzwi, za którymi znikła dziewczynka.

— Zachwycające swoją dziecięcą szczerością i niewinnością — dodał drugi.

Ojciec z widocznym zadowoleniem słuchał tych pochwał dla swej córeczki.

— Najbardziej cieszy mnie — rzekł, — że moje dziecko ma bardzo dobre i poczciwe serce. Śmiało mogę powiedzieć, że od chwili swego urodzenia córka moja ani razu jeszcze dobrowolnie mi nie zmartwiła, a i ciebie także nie, nieprawdaż? — dodał, zwracając się do żony.

— Bez wątpienia, Ludwiku — odparła hrabina — lecz niepotrzebnie wychwalasz tak nasze dziecko. Wszak ono jeszcze jest bardzo młode, i wpróż niż dorosnię, może niemało sprawić nam zmartwienia.

— Nie sędzę, aby tak być mogło — odrzekł hrabia. — Gracja jest tak dobrą, a zarazem do ciebie tak podobną, droga żono, iż myślą, że już taką na zawsze pozostanie. Ma także wielki skarb, to jest prawdziwą pobożność, której chyba nigdy już nie straci. Gdyby zaś nawet straciła trochę z teraźniejszej swej pobożności, toby jej jeszcze aż nadto pozostało. Dziecię nasze jest tak poważne i skrupione w sobie, że gdy jedziemy do kościoła, lub stamtąd wracamy, nie podnosi ani na chwilę oczu przez całą drogę, aby się przypatrywać na ulicach przechodniom, lub wspaniałym budynkom. Również i podczas Mszy św. nie podnosi wzroku ani razu, aby się przypatrzeć strojnym swym sąsiadkom, hrabiankom A., lub księżniczkom B.

— To rzeczywiście jakaś mała święta — odezwał się jeden z panów, gdy tymczasem inni okazali również w rozmaity sposób swe uwielbienie i wzruszenie.

Jeden tylko z obecnych spoglądał jakoś dziwnie, szydęrczo niemal na gadatliwego ojca, ale nic nie powiedział.

Po rozejściu się gości hrabina rzekła do męża:

— Czy nie zanadto, drogi Ludwiku, chwaliłeś dziś naszą córkę? Czy to nie było próżnością?

— Co w sercu, to i na języku — odrzekł wesoło hrabia. — Czyż sądzisz zresztą, że Gracja mogłaby się zmienić?

— To zależy od Boga, zdaje mi się jednak, że z czysto ludzkiego punktu widzenia możemy się spodziewać, iż dziecię nasze pozostanie zawsze do-

brem i pobożnem. Boję się jednak, żeby Pan Bóg nie ukarał za tę próżność nie Grację, ale nas samych.

— Zanadto czarno patrzysz na rzeczy, moja droga żono — odrzekł hrabia, — bo ja nic takiego nie widzę, coby taką obawę usprawdliwiało.

— Zresztą wogóle cała ta rozmowa nie bardzo mi się podoba — ciągnęła dalej hrabina, — bo chociaż wszyscy panowie, którzy brali w niej udział, wydają mi się sympatyczni, jeden z nich wszakże, a mianowicie wicehrabia Danton nie budzi we mnie tak dalece zaufania, żeby warto było mówić przy nim o członkach naszej rodziny.

— Powtarzam ci, że zanadto czarno patrzysz na wszystko — odparł hrabia. — Wprawdzie wicehrabia Danton zaraził się nieco zbyt wolnomyślnymi poglądami, lecz mam nadzieję, że się nawróci i dlatego pozwalam mu bywać w naszym domu.

* * *

Rok upłynął od opisanego powyżej drobnego zdarzenia. Paryż, w którym się to działo, zamienił się w przeciągu tego czasu w miasto łez i krwi, wielka rewolucja szalała z całą swą gwałtownością, setki zaś, a nawet tysiące szlachciców, kapłanów i wierzących chrześcijan jęczało w więzieniach, oczekując okropnej śmierci, którą już zginęło mnóstwo ich współbraci. Wystarczyło być księdzem, lub szlachcicem, aby na śmierć zostać skazanym.

Hrabia i hrabina X. siedzieli cicho i smutnie w swoim pokoju. Hrabia spoglądał przez okno na ulicę, od czasu do czasu zaś rzucał ukradkiem na żonę trwożne spojrzenia. Biedak nie mógł już uciec i teraz każdej chwili musiał się spodziewać, że zostanie aresztowanym i skazanym na śmierć.

— Gdzie jest Gracja? — zapytał.

— W swoim pokoju. Biedne nasze dziecię jest niepokieszonym, bo już prawie od dwóch miesięcy nie słuchało Mszy św. i nie było w kościele — odrzekła hrabina.

Nagle rozległ się odgłos kroków, turkot powozów i donośne męskie głosy. Do domu hrabiego weszło kilkudziesięciu republikańskich żołnierzy, dowódca zaś ich wkroczył śmiało do pokoju hrabstwa.

— Wicehrabia Danton! — krzyknęła zdziwiona hrabina.

— Tak, to ja jestem, ale proszę mnie po prostu nazywać obywatelem — odrzekł złośliwie zagadnięty. — Przychodzę właśnie z polecenia rządu republikańskiego aresztować panią i jej męża, jako nieprzyjaciół naszej ojczyzny.

Wicehrabia Danton został rewolucjonistą i członkiem rewolucyjnego rządu i w taki sposób ocalił swe życie, ale utracił honor i wiarę. Hrabia nie odezwał się do niego ani jednym słowem, ale hrabina upadła przed nim na kolana, wołając rozdzierającym głosem: — Litości! litości!

Danton zaśmiał się szydęrczo i spoglądał przez czas pewien na błagającą go kobietę, jakby chciał się nacieszyć ćwidokiem jej boleści. Po chwili jednak jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy, gdyż spoważniawszy nagle, rzekł:

— Dobrze zrobię dla was wyjątek. W przeszłym roku mówiłeś nam tak dużo, panie hrabio, o cnotach swojej córki, jak również o tem, że idąc lub idąc do kościoła i z niego wracając, nie podnosi ona oczu ani razu. Zrobimy więc teraz małą próbę, czyś nie za wiele pan powiedział. Proszę tu natychmiast sprowadzić swoją córkę i rozkazać jej,

aby poszła niezwłocznie do kościoła Najświętszej Panny i tam się pomodliła. Więcej ani słowa! Państwo ze mną i moimi ludźmi pójdziecie za nią i zobaczymy, czy rzeczywiście jest ona tak cnotliwą, jak pan opowiadałeś. Jeżeli się zatrzyma, aby się przypatrzeć domom, sklepom albo ludziom, napotkanym na swojej drodze, jeżeli podniesie głowę, odwróci się na którąkolwiek stronę, lub dobrowolnie przez ciekawość obejrzy się dokoła siebie, to pan wraz z żoną zginiecie na gilotynie, jak na to stan wasz zasługuje i umrzecie z tem przekonaniem, że własne dziecko stało się przyczyną waszej śmierci. Jeżeli jednak wasza mała święta wujdzie zwycięsko z tej próby, wtedy moi przyjaciele Robespierre, Egalite i inni zrobią mi tę przyjemność, że pozwolą wam szczęśliwie ratować się ucieczką. Teraz więc mech wasza córka nam okaże, czy jej ojciec nie zanadto ją wychwalał.

Usłyszawszy te okrutne słowa, hrabia zerwał się z miejsca i ze złożonemi błagalnie rękami zwrócił się do nędznika:

— O, zlituj się pan nad biednym ojcem! — zawołał z wyrazem niewysłowionej rozpacz. — Pamiętaj pan, że ta dziewczynka jest jeszcze dzieckiem i że od kościoła Najświętszej Panny dzieli nas odległość trzech kwadransów drogi! Każ nas lepiej od razu aresztować, aby dziecię nasze nie miało przynajmniej dotkliwego wyrzutu sumienia, że się stało mimowolną przyczyną śmierci własnych rodziców!

Wszystkie jednak prośby były daremne; rewolucjonista nie dał się przebłagać. Przeprowadzono więc Grację i w obecności rodziców „obywatel” Danton rzekł do niej:

— Gracjo, stosownie do życzenia twych rodziców masz pójść natychmiast do kościoła Najświętszej Panny, pomodlić się tam przez kwadrans i wrócić, ale pieszko!

Gracja pytająco spojrzała na rodziców, którzy w milczeniu skinęli głowami. Po chwili więc dziecię wyszło z pokoju, w dziesięć zaś minut później wyszło z pałacu i podażyło do kościoła. Za nią w odległości dwudziestu kroków szedł dowódzca rewolucyjny i jej rodzice jako świadkowie.

Dziewczynka szła spokojnie, równym i pewnym krokiem z głową skromnie spuszczoną nieco ku ziemi.

Od chwili wybuchu rewolucji ulice Paryża bardzo się zmieniły. Wiele domów zburzono, inne opuszczono i zamknięto, na niektórych zaś powiewały rewolucyjne chorągwie lub jaśniały nad bramami ogromne złote napisy, gdyż były to gmachy republikańskiego rządu. Również i bogate przedtem sklepy bardzo się zmieniły, wiele było zupełnie pustych, w innych zaś widać było czerwone republikańskie czapki, szarfy i chorągwie. Wszystko to mogło zwrócić na siebie uwagę, najbardziej zaś nie miłe wrażenie wywierał widok gruzów ze zburzonych domów.

Gracja jednak szła spokojnie i nic z tego wszystkiego nie widziała. Przywykła ona w drodze do kościoła i z kościoła nie zajmować się żadnemi świeckimi rzeczami, więc też nic podobnego nie chciała widzieć lub słyszeć.

Ludzie, których spotykała na ulicach, nie zwracali również na siebie jej uwagi. A jednak co za różnica! Tam, gdzie przed kilkoma miesiącami przejeżdżały bogate powozy, wiozące strojnych panów i eleganckie panie, gdzie wszystko było pełne ży-

cia i wesela, dzisiaj grobowa panowała cisza. Szybko i nieśmiało, jak złodziej, przesuwiała się tu i ówdzie jakaś postać, w wielu miejscach stały gromadki rewolucyjnych żołnierzy, oto i wszystko.

Grację przeraziła ta okropna różnica i to tak niemiłe, złowrogie otoczenie. Pomimo tego jednak pozostała wierną swym pobożnym nawykniom, nie domyślając się wcale, że od jednego ciekawego jej spojrzenia zależało życie rodziców, i szła spokojnie, ze spuszczoną głową, modląc się po cichu.

Biedne dziecię zostałoby może nieraz zatrzymanem, a nawet może skrzywdzonym na ulicy, gdyby jedno skinienie idącego za niem rewolucyjnego dowódcy, Dantona nie ocaliło ją za każdym razem od niebezpieczeństwa. Wreszcie doszli wszyscy do kościoła Najśw. Panny. Oboje rodzice, którzy przez całą drogę szli za córką, byli już prawie chorzy z niepokoju i trwogi nie o siebie samych, ale o swe dziecię.

Tymczasem dziewczynka z należytyim spokojem i powagą weszła do opuszczonego kościoła i podażyła ku ołtarzowi, przed którym niegdyś tak często się modliła. I teraz więc ukłękła i zaczęła się modlić, nie przeczuwając bynajmniej, że na nią zdaleka patrzeli rodzice.

Po upływie kwadransu Gracja wstała i zabrała się do wyjścia. W krużganku kościelnym pokropiła się pobożnie wodą święconą, przeżegnała się i wyszła z powrotem ku domowi.

Szybko i skromnie szła dziewczynka przez długi szereg ulic, na całej zaś jej twarzy malował się jeszcze wyraz głębokiej pobożności, z jaką przed chwilą się modliła. Była tak skupioną w sobie i tak wyłącznie zajęta myślami swego zjednoczenia się sercem z Panem Bogiem, że nie widziała i nie słyszała nic, co się dokoła niej działo. Nie zauważyła więc, że ludzie zbierali się coraz liczniej w pewnym punkcie ulicy, nie widziała, jak dzieci i dorośli, po większej części okryci łachmanami, biegli wszyscy w jednym kierunku, roztrącając się i popychając jedni drugich, i nie spostrzegła, że coraz bardziej zbliżała się do niej głucha wrzawa, połączona z odgłosem bębnow. Teraz musiała przechodzić obok rozległego placu, na którym stało mnóstwo ludzi, tu i ówdzie polyskiwały bagnety, w pośrodku zaś wznosiło się posępne rusztowanie, przy którym stali kaci, czekający na swoje ofiary. Długi szereg wozów ciągnął się powoli w pobliżu Gracji, na okropny plac, na którym codziennie niemal wykonywano niesprawiedliwie wyroki śmierci. O uszy dziecka odbił się nagle przytłumiony okrzyk. Zdawało się dziewczynce, że słyszy znajomy jakiś głos, i już chciała ciekawie podnieść oczy, lecz przypomniała sobie w porę przestrożę swego spowiednika, której dotąd zawsze wiernie się trzymała i ze spuszczonemi oczyma szła dalej, smutny zaś orszak zdaleka ją ominął. Ach, gdyby Gracja wtedy spojrzała! Obok niej wieszono właśnie na śmierć jej własnego spowiednika i nauczyciela religii, który mimowoli chciał przesłać Gracji ostatnie swe pozdrowienie. Z niewysłowioną radością widział on, jak Gracja przeszła spokojnie, nie podnosząc oczu i do przedśmiertnych jego modłów za własną duszę przyłączyła się także gorąca modlitwa do Ojca Niebieskiego za to dobre i pobożne dziecię.

W piętnastej minut później nasza mała bohaterka, za nią rodzice i dowódzca rewolucyjny wrócił do domu.

— Wygrałeś, panie hrabio, pańskie dziecko ocalało wam obojgu życie — odezwał się wicehrabia Danton, patrząc nie bez wzruszenia na śliczny rodzinny obrazek, gdy rodzice dziewczynki z płaczem zaczęli ją całować i przytulać do serca, chociaż ich córka nie wiedziała wcale, dla czego.

— Uciekajcie jak najprędzej — dodał ciszej wicehrabia, — zabierzcie wasze wszystkie kosztowności i niezwłocznie ruszcie w drogę. Ja się postaram o to, aby wam nigdzie żadne niebezpieczeństwo nie groziło. Widzę teraz, że jest coś większego i świętszego od tego, o czym możemy się przekonać za pomocą pięciu zmysłów i uwielbiam was.

Kiedy zaś hrabia i hrabina dziękowali mu ze wzruszeniem, Danton dodał:

— Dziękujcie raczej temu aniołowi, waszej córce, ona bowiem was ocaliła, mnie zaś bardzo poważną i głęboką dała naukę. Jeżeli zaś czasami zechce za mnie się pomodlić, to bardzo będę jej wdzięczny, bo w takim razie mogę mieć nadzieję, że nie zostanę zgubionym na wieki.

Rodzina X. szczęśliwie uratowała się ucieczką, co zaś do wicehrabiego Dantona, to miejmy nadzieję, że mu Pan Bóg przed śmiercią dał łaskę nawrócenia.

Dodajemy jeszcze dla młodych naszych czytelniczek tę oddawna wiadomą i doświadczoną prawdę że nie tylko w tym wypadku, ale bardzo często całe życie człowieka, oraz niebo lub piekło dla jego duszy zależy od jednego spojrzenia, albo nieparzenia.

Jak umiera bezbożny.

Ostatnie dźwięki niedzielne rozpraszały się w porannem powietrzu, ołtarz błyszczał w blasku świec, starzy i młodzi odkrywali głowy przed kamiennym, starym krzyżem, który znajdował się przy drzwiach wiejskiego kościoła, wtem zatrzymała się przed bramą karetą barona, a z niej wysiadła pani a potem on sam, czarny włos otaczał skroń jego, oczy wydawały się trochę jakby drwiące, a na twarzy znać było szwerczy uśmiech. Jednak nikt na to nie zważał, ponieważ go takim zawsze widziano. I znowu była niedziela i znowu zwoływał poważny głos dzwonu na nabożeństwo, jednak wóz nie zjawił się, i to po raz pierwszy od lat piętnastu. A gdy na drugi dzień wychodzili wieśniacy z końmi i pługami, posuwał się czarno okryty wóz przez ciche pola, a w trumnie leżała żona barona, poważna i blada ale piękna i podobna aniołowi, jaką była za życia. W zamku było teraz cicho i pusto, a w duszy pana wioski ponuro i próżno.

Na lawce do modlenia szlacheckiej familji w małym kościółku wiejskim osiadał pył; dwadzieścia lat minęło, a on do żadnego kościoła nie wstąpił, a błogosławieństwa kościelne nie zdawały się być dla niego. Głucho i tajemniczo rozbrzmiewały jego kroki po pustych chodnikach zamku, tak że jedyny stary sługa Anzelm na jego widok uczuwał trwożę. Całą noc do wschodu słońca świeciło się w oknach pałacu, nie słyszano już więcej kroków na gankach zamku, w komnacie barona nic się nie poruszało, ale za kotarą łóżka wzdychał ktoś głęboko i ciężko jak gdyby chory. Poranek uśmiechał się wesoło ale promienie słoneczne nie dochodziły do serca barona, ponieważ noc całą dręczyły go straszne sny. Zdawało mu się bowiem, że stoi nad przepaścią, w któ-

rej głęboka rzeka szumiała, a której boczne ściany jeżyły się czarnymi kolcami. Ponad głębią prowadziła wąska deska, a po drugiej stronie siedziała jego żona, która wołała na niego: „Pójdź do mnie, jeśli twoje serce jest wolne od ciężkich grzechów, w innym razie załamałaby się pod tą kładką“. Umilkła a baronowi biło serce: lecz odważył się i doszedł do połowy kołyszącego się mostu; teraz opuściła go przytomność, ponieważ jego serce oskarżało go, a pod nim huczał prąd rzeki, wtem obudził się a całe jego życie leżało przed nim jako ta przepaść, nad którą stał we śnie.

— Czy będziesz się spowiadał? nie mam grzechu; a przecież! — i zatopił się w myślach. — Anzelmie!

Sługa ukazał się, oczekując rozkazów.

— „Siadaj na konia i zawołaj proboszcza, koniec się zbliża.

Niezdługo też ozwał się na ganku zamkowym głos dzwonka, a gdy proboszcz przestąpił próg komnaty chorego, podniosła się kotara i wyrzała twarz pełna bólu, szyderstwa i urągania i zarazem zawziętości.

— Precz stąd! — zawołał, i — ścisnął pięść.

Kapłan musiał się oddalić, a głos dzwonka znowu powoli przebrzmiał w oddaleniu. A tymczasem w sercu barona wrzało, paliło się niemal od różnych strasznych myśli. — Anzelmie! — Sługa ukazał się. — Daj mi mój płaszcz, muszę przejść przez rwącą rzekę.

Siadł więc na orzechowem krześle z kółkami, na którym jego ojciec oddał ducha, a poczciwy Anzelm woził go po wszystkich chodnikach i wszystkich komnatach, oko jego zatrzymywało się z żalnością na każdym przedmiocie odziedziczonym po przodkach. A gdy przyszli do sieni, zawołał:

— Zawieź mnie do mego grobu. — Dreszcz przeszedł służącego. Drzwi domu otworzyły się, a świeże poranne powietrze pozbawiło go na chwilę przytomności. Anzelm zaniósł go do komnaty, gdzie złożony na łóżku otworzył oczy i patrzył jakby obłąkany. Zdawało się mu, jak gdyby coś siedziało na jego piersiach, i sądził, że to mogła być śmierć. Naokoło z za zielonych aksamitnych obić wyglądały — tak mu się zdawało — dziwne jakieś twarze; jedne były powykrzywiane i obrzydliwe, inne przyjemne i piękne; to były wszystkie dobre i złe czyny barona, które się mu przypatrywały, gdy śmierć już mu zaglądała w oczy. A tak bardzo mu dokuczały, że pot występował mu na czoło. Straszdyła przybliżały się coraz więcej; coraz wolniej i za chwilę przestały krążyć na dobre. Nastąpiła straszna cisza; tylko paciorki różańca, które trzymał drżący Anzelm, uderzały o krawędź łóżka. Za życia swego pana nie mógł go odmawiać. Tak skończył baron.

Słońce zakryte było chmurami, a niebo było jakby ołowiane. Orszak pogrzebowy posuwał się do wsi. Przy pierwszych chatach wsi zatrzymał się orszak, oczekując proboszcza; minął kwadrans, drugi a nikt się nie pokazywał; poszli więc ku cmentarzowi. Brama była zamknięta; nie było widać żadnego krzyża, żadnych mar, żadnej pochodni; tylko pod płotem wykopany grób. Anzelm ukląkł i począł mówić cichą modlitwę. Spuszczono trumnę bez śpiewu i odgłosu dzwonów, do niepoświęconego dołu, poczem owi panowie i panie spiesznie odeszli.

Boże ulituj się nad jego duszą!